

**NICKOLWIEK**

Spadamy. Nie mając wyboru, nie mając miejsca, bez  
Mapy, w samym środku lata, spadamy, nie rozstając się  
Z ziemią. W każdej chwili mrozi agregat pustki.  
Brwi są oszronione jak szyszki. Magazynek mgnienia  
Bawi się ze mną, jak kot kulą włóczki. I pozostaję  
Bez dalszej łączności z rdzeniem tajemniczej

Chwały życia na krawędzi, bez związku z czymkolwiek, co  
Ono mogłoby jeszcze przynieść, by chciano je brać w pacht,  
Przemycać bez myta, dawać komuś jego pieniące się części,  
W jaskrawym zygzaku tatuującej blaskiem burzy.  
Kochana tajemnico każdego zaskoczenia, niosę rąbek  
Twego welonu i ugniatam, wciąż to samo, prychające wapno,

Nie wychodząc z tego rowu, gdzie spadła piołunowa gwiazda  
Poranka, dzięki czemu wciąż jestem z wami, gumowe widma  
Mojej ucieczki w życie. Potem zobaczyłem pusty,  
Prostokątny placyk, tam mieszałem się z innymi, byliśmy  
Wzajem na siebie głusi, i tak błyskotliwie marni, że jeszcze do  
Dzisiaj nie mogę siebie odnaleźć na czarno-białej

Fotografii, gdzie stoimy na schodkach przed zaszkłonym  
Wejściem do szkoły kryptologów, popruty jak  
Ogrodowa siatka, zacinając się w domniemanych seriach  
Odpowiedzi na pytanie, jak do tego doszło. Nasze lata  
Plenią się jak domysły. Kończcie się, oddajcie, co macie,  
I przepadnijcie w paszczy tego smrodu, idzie wszak ku

Wam Lewiatan waszego cherlawego losu, groteskowy  
Wybawiciel trocinowej jaźni. Kadłubkowa księżniczko,  
Ocal tedy nas swą różdżką, nie naciskaj cyngla odmowy  
I daj nam pić ze swej tłustej piersi, bośmy nie poszli  
Gdzie indziej, tylko w to nasze przytulne nigdzie,  
Upierając się przy hegemonii owych przekątnych

Informacji o rychłej zorzy nad naszym korytem, która  
Mogłaby rozpromienić ten wyspany z horyzontów ugór,  
To nasze żyzne krwią, drabiniaste poletko. Pochowajcie mnie  
Na półkach lub upchajcie po kieszeniach, mam jeszcze skobel  
Pulsu, nabite prochem oko, prążkowany spławik rzucony  
Na mieliznę kolejnego snu, kiedy siedzimy wkręceni w fotele

I krzesła, z pełnymi bateriami, w odstępstwie od każdej,  
Koniecznej na teraz powinności, odlegli dla zawiadowców  
Miasta, wyczuci z kosmicznego pyłu, podmienieni w odbiciu szyby.

## ODPADY

W szczelinie każdego, źle obudowanego światłem dnia  
Łypie zbłąkane oko cyklonu, żywiołu oczekiwanego  
W snach i na mapach pogody ze strachem. Świadczy to  
O cudownej sile ocalenia każdej mrzonki, jaką jest  
W stanie utoczyć jak kawał bezkształtnej gliny umysł, tylko  
Dlatego, żeby nie stoczyć się w ruchomą czeluść wymiaru  
Przyskrzynionego przez fakt, owe zdarzenie obiektywne,  
Które pozbawione jest upośledzenia czy nieścistości, bowiem  
Zostało odebrane przez świadków. I na tym zasadza się  
Oścień przyszłych enuncjacji, mających nadany przez oczko  
Emocji kierunek dalszego rozprzestrzeniania się w głowach,  
Trzewiach i mieszkaniach zamienionych w telewizyjne  
Świetlice. Tak więc, pustko materii otaczająca mnie tak ściśle,  
Tak dojmująco ciasno, jesteś jeno migotem widzianym jako

Nachalnie płaski, matowy błysk, jesteś leniwym kłapnięciem  
Nicości, której się śnisz, i w tym przekrzywionym  
Odbiciu, usiłując wabić najdrobniejszy ruch, zwabiasz samą siebie  
Na moment przed wpadnięciem do kontenera tego świata,  
Który potrzebuje niezliczonej serii podmian, identycznych  
Tworów, szeregów tych samych, materialnych podniet, ażeby  
Utrzymać się w bezładzie ślepej grawitacji i nie wypaść poza  
Swoje kosmiczne koryto. Więc, skoro bierzesz się tylko  
Z nadmiaru, czeka cię zanik. Reanimacji nie będzie, podobnie  
Jak nie będzie nikogo, kto chciałby z ciebie zrezygnować po tym,

Czego zaznał, ochoczo częstując się z twojej papierowej, sutej  
Tacki jednorazowymi odpadami ze wszystkich, górnych i dolnych  
Półek, półek, gdzie czekają twoje sporcjowane, puste wyroby.

W tej obfitości niczego trzaska jedynie migawka pustego zdjęcia,  
Albowiem kadr po kadrze to kolejny wizerunek narastającej  
Mgły, to zarazem scenograficzny opis wypełnienia szczeliny, poru  
I pęcherzyka powietrza niczym, niczym innym, czyli tym  
Mitycznym kodem, jakim została opatrzona nasza nadzieja na  
Objawienie zaświatu tego stanu rzeczy i pustki, jasnej niby strony,  
Która uparcie jest wróżona z najrozmaitszych fusów codziennego  
Fechtunku z masywnym, tłocznym rytmem życia prowadzonego na  
Postronkach i linkach decyzji dziobiących i dziobanych, z owych  
Łamliwych kości przypadku, których chrzęst mieści się w obtłuczonym  
Kubku, potrząsanym przez ręce, jakie każe nam wyciągać widzimi się,  
Rozpędzone od jednej do drugiej skroni, mające tak wiele jeszcze  
Z nami do zrobienia, że nie zrezygnuje z żadnego ruchu, nawet  
Tego, który byłby ostatnim, samozwrotnym ugodzeniem w tym  
Samozacierającym się śladzie, w tej samobieżnej zatracie.